



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20.

Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie 11 b. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Władysław M. Kozłowski.

SZKOŁA SPOŁECZNA

W NASZEJ PRZESZŁOŚCI.



(Dokończenie).

Tak usposobieni uczniowie przejdą do klas wyższych, gdzie uczyć się będą nauk matematycznych, fizycznych i wyzwolonych, podzielonych już nie na klasy, lecz na kursa (dwuletnie). A mianowicie: z 4-ej klasy uczniowie przechodzą na kurs 1-szy obejmujący matematykę elementarną, logikę, historię i geografję powszechną dawną i teraźniejszą; przez drugie dwa lata będą słuchali fizyki i prawa; na trzecim kursie przejdą historję naturalną, chemię i literaturę.

Te są bowiem nauki potrzebne w życiu prywatnem i publicznem każdego dobrze wychowanego obywatela. Matematyka i logika otwiera rozum, wprawia do jasnego pojmowania prawdy, historia naturalna prowadzi do obeznania się ze wszystkimi przedmiotami, które nas otaczają; chemia wystawia nam te wszystkie w świetle głębszem przez rozbiór i składanie; fizyka daje poznać prawa natury. „Historja dziejów ludzkich jest tem, względem umiejętności moralnych, czem historia naturalna względem umiejętności fizycznych.” Przedstawia ona nam „niezmierzoną masę szczególnych skutków rozumu i pasji, z których dobrze rozważonych i porównanych, możemy wyprowadzić niezawodne prawidła do wszystkich nauk moralnych,” jest więc pierwszym wstępem do prawa natury, politycznego i narodów, tudzież ekonomii politycznej, bez których, również jak bez znajomości prawa krajowego, cywilnego i kryminalnego, żaden dobrze wychowany obywatel obejść się nie może.

Do literatury przydany ma być język grecki i gramatyka powszechna języków słowiańskich, obok tego lekcje bibliografii. Prócz tego mają być, dla życzących tego, metrowie rysunku, muzyki i gimnastyki.

Szczegółowe plany i ustawy zostały opracowane przez Kołontaja podczas tej by-

tności w Porycku (która przeciągnęła się od 8-go do 17-go Października 1803-go r.).

Ale obok nauk wyzwolonych, wprowadzone zostały i przedmioty techniczne, odpowiadające potrzebom realnym społeczeństwa. Więć kursa ogrodnictwa i rolnictwa, chirurgii i weterynaryi, mechaniki praktycznej, wchodzące od początku w program gimnazjum, rozrastają się niebawem w oddzielne zakłady, połączone ze szkołą.

Po paroletniem istnieniu szkoły krzemienieckiej, Jan Śniadecki czynił w listach do Kołontaja niektóre zarzuty co do jej programu.

Obok innych uwag, zarzucał Śniadecki *) systematowi krzemienieckiemu zbyt nagłe przejście od dziecinnej szkoły językowej do kursów wyższych, nadto, zbyt długi, bo dziesięcio-letni kurs nauk, wreszcie kosztowność szkoły w stosunku do skutków osiągniętych. Na te zarzuty, płynące z ogólnych rozważań, umiejętnie oponował Czacki, opierając się na warunkach konkretnych miejsca i czasu. Co do wczesnego zaczęcia i długiego kursu mówi: „Domowe wychowanie w ósmym roku już psuje dziecię; po cóż nieusuwać tej smutnej sposobności, tego złego nałogu, z którym przyjdzie potem do szkoły?... Młodzian w 16-ym wieku jest igrzyskiem namiętności, w 18-ym roku dany mu miłość nauki, dany mu przedmioty, które dadzą mu zatrudnienie i usuną go od zepsucia.” A w innym liście pisał:

„Plan mój jest prosty... Ja chcę, abyśmy to wszystko w Krzemieńcu mieli, co do uczenia się naszej młodzieży jest potrzebnem, do wydoskonalenia się, abyśmy dla Wilna mieli uszanowanie, ale do tego miasta nie potrzebowali jechać.”

Plan Czackiego i Kołontaja był więc ten: Stworzyć szkołę, nie będącą tylko przygotowaniem do uniwersytetu (jak gimnazjum dzisiejsze), lecz zamkniętą w sobie całością, dającą skończony zakres wykształcenia, a przytem uwzględniającą nie tylko wykształcenie ogólne i naukowe, lecz i potrzeby praktyczne. Ostatniemu celowi służyły kursa mechaniczne, ogrodnicze, lekarskie i t. d., na które uczęszczała przeważnie u-

*) Baliński: „Studia historyczne,” str. 59, 63. Wilno. 1856.

boższa młodzież miejska, przez miasta obowiązkowo wysyłana. Z dumą też pisał Czacki, że „dwustu ubogich uczniów do różnego powodzenia będzie miało chleb na zawsze, a naukę w miarę potrzeby kraju.”

Widzimy więc, że urzeczywistnione tu były pierwszy i drugi z postulatów szkoły społecznej, na początku wymienione. Szkoła nie tylko była zamkniętą w sobie całością, ale uprawiała umiejętności techniczne na równi z naukami wyzwolonymi, a szeroko wprowadzała zasadę demokratyczną. Lecz i trzeci postulat był w niej urzeczywistniony w tej mierze, w jakiej to było wówczas możliwe.

Szkoła krzemieniecka była bardzo kosztowną; budżet jej przekraczał wielokrotnie sumy wytknięte przez ogólne przepisy ministerjalne dla szkół gubernialnych. Wydatki te pokrywały olbrzymie zapisy i ofiarność obywatelstwa, a właśnie to źródło funduszków pozwalało Czackiemu wykroczyć tak dalece pó za urzędowy program gimnazjalny (tytuł Liceum otrzymała ta szkoła dopiero w r. 1818-ym) i nadać jej charakter szkoły społecznej.

Nie tylko więc cały stosunek nauczycieli do uczniów był istic przyjacielski i ojcowski; nie tylko że czyniło się wszystko ażeby utrwalić związki duchowe między nimi — a do takich sposobów należały wieczory literackie, zaprowadzone za czasów dyrektorstwa Aloizego Felińskiego, ale już od samego początku Czacki zainicjował w ustawie szkolnej stosowanie zasady udziału uczniów w sprawach szkolnych.

Uczniowie byli mianowicie powołani do udziału w jednej z najważniejszych funkcji szkoły, w sądownictwie. „Sąd uczniów w gimnazjum wołyńskim” składał się z trzech osób, z każdego kursu jedna, i z prezesa. Sędziowie są obieralni; przy wyborach „dyrektor, prefekt lub nauczyciel prawa przełoży, jak wybór własnych sędziów jest potrzebny dla wybierających, jak udział ufności od edukacyjnej władzy powinien mieć szczęśliwe skutki;” wybory odbywają się kreskami sekretne; kandydatami mogą być wszyscy, których sześciu poda, prócz nie mających 10-iu lat, lub wykluczonych przez sąd od tego prawa.

Kołodziej był nieprzychylny temu projektowi, lecz Czacki przeprowadził go. Jakże się zachował ów sąd, mało co starszy nad lat dziesięć? Mamy o tem świadectwo w „Ramotach starego dietiuka,” pisanych przez jednego z uczniów, a później profesorów w Krzemieńcu, znanego botanika, Andrzejewicza.

Chcąc obeznać uczniów z procedurą sądową, profesor prawa często przekładał im do rozstrzygnięcia sprawy, które znajdowały się w rzeczywistości w sądzie krzemienieckim. Roztrząsaniom takim często dawano charakter publiczny, a uczniowie występowali w roli sędziów. Rzeczywisty sędzia, będąc raz na takim rozbiórce sprawy, po jego ukończeniu, zwrócił się z wdzięcznością do osób czynnych, oświadczając, że wyświetlili mu stanowisko, które powinien zająć, a co do którego, wobec trudności sprawy, nie mógł się zdecydować.

Szkola więc krzemieniecka była w najlepszym znaczeniu szkołą społeczną i całym szeregiem urzędów swoich może dziś nam służyć za wzór w próbach reformatorskich. A nie tylko ona; w programach i sprawozdaniach szkół wydziałowych, założonych przez Komisję Edukacyjną, znajdujemy cały szereg wskazówek, które dziś jeszcze z równą korzyścią zużytkowane być mogą.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



IX.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz po owej tajemniczej rozmowie z Gwoździem, Lebicki o szóstej rano był

już na nogach; nocy tej spał zaledwie kilka godzin.

Trawiła go gorączka, czuł się podniecony, niespokojny, wytrącony zupełnie ze zwykłej równowagi, ale mimo to całym wysiłkiem woli i przytomności panował nad sobą, ażeby przed siostrą nie zdradzić się z powziętego zamiaru.

Gwoździ wyraźnie zażądał tego, zastrzegając bezwzględna tajemnicę.

Według jego planu, obmyślanego — jak twierdził — we wszystkich szczegółach, zamach powinien być się udać na pewno, nawet bez narażenia którego z nich na niebezpieczeństwo przy wybuchu bomby.

Marajew mieszkał przy jednej z bocznych ulic, prowadzących ku Alejom Ujazdowskim; prawie naprzeciw jego domu stała duża kamienica narożna, z po za węgla której miało w ukośnym nieco kierunku rzucić piekielny pocisk w chwili, kiedy będzie wychodził z bramy i wsiadał do dorożki, oczekującej go codziennie już od godziny dziesiątej rano.

Ulica była dość wąską, prawie bezludną, mało uczęszczaną o tej porze.

Skutek miał być niechybny.

Według obliczeń Gwoźdźcia, połowa materii wybuchowej, której skład chemiczny był jego wypróbowanym wynalazkiem, wystarczyć powinna była do wysadzenia w powietrze sterty kamieni o objętości sześćdziesięciu kubicznych sążni.

— Przypuszczam, że to wystarczy zatem do porwania na strzepy jednego Marajewa, — mówił z ironicznym uśmiechem.

Dla niepoznaki, włożył bombę w blaszane pudełko od tytoniu, zawinał je starannie w numer jakiegoś francuzkiego tygodnika, który wziął z etażerki, stojącej przy biurku Sokolika i obwiązał niby zwyczajną, niepozorną paczkę różową tasiemką, znalezioną w całym kłębkach na nocnym stolczku przy łóżku Rózi.

— Teraz to można będzie nieść w rękę

przez miasto, jak niewinny sprawunek, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, — tłumaczył Lebickiemu, który z podziwieniem przypatrywał się jego spokojnej minie i słuchał objaśnień, wygłaszanych głosem cichym, powolnym, melancholijnym człowieka zrezygnowanego na śmierć i dyktującego swoje ostatnie rozporządzenia.

Wszystko zaś, co mówił, wydawało mu się takie proste, naturalne, nie ulegające żadnej wątpliwości, tak przezornie obmyślane, a tak łatwe do wykonania, że imponowało jakąś przekonywującą siłą i odbierało grozę sytuacji, w której się jutro znaleźć mieli.

Na uwagi i kwestye, robione z nieśmiałością przez Edmunda, odpowiadał pobłaźliwie:

— Żle się wam zdaje; jesteście jeszcze nowicyuszem, nie macie doświadczenia, zresztą biorę to na własną odpowiedzialność, zostawcie już to mnie!

Przy rozstaniu położył mu rękę na ramieniu, spojrzał głęboko w jego oczy i wytrzymawszy go wzrokiem długą chwilę, rzekł:

— *Alea jacta est*, pamiętajcie!... cofają się tylko tchórze lub szubrawcy.

Potem nerwowym ruchem ujął jego dłoń i uściśnął ją krótko, mocno, parę razy, a wychodząc, przypomniał, że o ósmej rano mają się spotkać pod kościołem św. Aleksandra na Placu Trzech krzyży.

Sokolik został sam, jak zahypnotyzowany; wszystko to wydało mu się ciężkim gorączkowym snem, z którego nie mógł się przebudzić.

Wiedział tylko, że przyjął na siebie jakiś wielki, przytłaczający go obowiązek, że miał być współnikiem krwawego czynu, który mu przedstawiono, jako nieodzowną konieczność dla idei, dla dobra sprawy, dla interesu partyi, dla wybawienia od srogiej kary, może nawet od haniebnej śmierci całego grona ludzi, z którymi wiązała go solidarność wspólnych haseł, celów i roboty spiskowej.

Z doby obecnej.



Dziesięć dni na wsi. — Napady i rozboje. — Dziwne bezpieczeństwo. — Troski ziemian. — Strach ma wielkie oczy. — Odgłosy emigracji. — Brak ludzi. — Troski hodowcy. — Utyskiwanie gospodyni domu. — Czy lepiej w mieście, czy na wsi. — Co grają w teatrze.

Przez dziesięć dni byłem nieobecny w Warszawie. Wybrałem się na wieś. Taką zwykłą wieś polską, oddaloną od kolei o siedm mil. Sielanka w pełnym znaczeniu.

Po ogłuszającym turkocie, po nasłuchaniu się o mordach, bratobójstwach, zamachach, tak w stolicy, jak i w krwią zbroczonej Łodzi, mówię sobie: to, przynajmniej zażyję spokoju na wsi. Wszyscy się zawsze litują nademną: Biedny literat warszawski, co to ani wypoczynku, ani wywczasu, ani nie zawsze pełnej kieszeni, a co innego, zupełnie co innego obywatel ziemski, szlachcic na zagrodzie, pan na włościach, niezem wojewoda! mówię sobie, zobaczę, jak to bywa na wsi.

Zajeżdżam do miejsca przeznaczenia, bliżej już jestem wrót, wiodących do dworu, aż tu widzę rzecz niezwykłą na wsi. Stoi na warcie w biały dzień grenadyer podwórzowy, z wyciągniętym gdzieś z kąta wiekowym karabinem z doby może saskiej, może trochę późniejszej: z typu napoleońskiego. Wartownik ten munduru nie posiada, nosi jakąś wypełzłą od słońca burkę i w takim oto rynsztunku maszeruje przed domem od świtu do późnego zmierzchu.

— Czego — pytam — pilnuje ten domorosły obrońca przez cały biały dzień?

— Odpowiedź prosta: bywają zdarzenia, że właśnie w ciągu dnia, kiedy wszyscy parobcy w polu, niespodziewanie zajeżdżają bandyci, napadają bezbronny dwór i — mkną po dalsze łupy w sąsiedztwo...

Miła sytuacja, niema co mówić. W nocy bywa jeszcze gorzej. Wieczory długie, przeciągłe, wiatr wyje, cała wieś wcześniej udaje się na spoczynek, dwór zostaje bezbronny prawie, dla zabawki chyba strzeżony tylko przez drzemających i od strachu kurczących

się stróżów nocnych, którzy pierwsi umknęli by do gąszczy w ogrodzie, byle nie dostrzeegli ich napastnicy.

Przyjeżdża w odwiedzinę ten i ów sąsiad, a każdy opowiada niewesołe nowiny: oto słyszał, że gdzie skradziono konie, gdzie indziej, napadnięto na księdza, ówdzie zabito pana domu...

Nie wiesz dlaczego, ale zaczyna się robić jakoś chłodno, coś chodzi po plecach, jakby ciarki... Wszyscy udają bardzo odważnych, ale każdy z osobna zaczyna narzekać na zimno... Ładne czasy.

Ale przechodzi jedna doba, druga... Wszyscy przy łóżkach mamy broń podręczną i jakoś spokojnie...

Jednego wieczora siadamy do kolacji, aż wpada rządca z majątku, zziąjany, ledwie dyszy i komunikuje jednym tchem: Skradziono mi konia!

— Co, gdzie, jak?! — każdy zadaje najpierwsze pytanie.

Wypadek, jak na wsi, istotnie niezwykły. Wstąpił do sąsiedniej wsi. Zajechał je

Czuł wprawdzie, że go zniecka zaskoczyło to wezwanie do czynu, o którym marzył, jako o bohaterstwie, mającym stwierdzić jego zapal, dążenia do użyteczności, gotowość do poświęceń dla ogółu i dla tych zasad, któremi przejmował się w gorącej atmosferze rewolucyjnych kółek, ale wiedział także, że mu niepodobna się cofnąć teraz i że zrezygnowany być musi na wszystko, jeśli nie chce uchodzić „za tchórza lub zubrawca.“

Nie obawiał się ani o swoje życie, ani o następstwa swego czynu na wypadek, gdyby się zamach nie udał, ale gnębiła go myśl o tych, których najwięcej kochał, a których musiał skazać na męczeństwa bólu i rozpaczy, jeśli go los zdradził.

W tych najbardziej stanowczych chwilach nie o sobie myślał, ale o siostrze i o Broni, o tych dwóch najdroższych, najświętszych, najukochańszych istotach, których spokój i szczęście stawiał na kartę razem z własnym życiem.

— Co można stracić więcej, nad życie, a co warto życie wobec idei! — przypominały mu się słowa Łańskiego i to go podnosiło na duchu, krzepiło i dodawało stanowczości.

— A co warte życie bez celu, życie z dnia na dzień, życie bez jutra i bez dnia drugiego? — podszeptował mu jakiś głos ambicyi, który w najskrytszej głębi jego duszy robił mu tak często gorzkie wymówki i upokarzał go wobec niego samego.

Niechże choć raz porwie się do jakiegoś czynu, niechaj coś zrobi, skoro mu się nadarza strasna, ryzykowna, ale wyjątkowa sposobność; niech podda się próbie i doświadczy samego siebie, niechże spróbuje być „użytecznym“ w znaczeniu rewolucyjnej partii i „kamieniem położy się na szaniec,“ jeśli nie innego uczynić dotąd nie mógł, czy nie umiał!

Gwóźdź tyle zbawiennych skutków obiecywał mu, jeśli zamach się powiedzie; usu-

ną jednego z najgorszych, najniebezpieczniejszych prześladowców ruchu i agitacji, zniszczą mozołny rezultat śledztwa, powstrzymają katastrofę, grożącą partii; aktem terrorystycznym wstrząsną znowu masy i imponują, ułatwią skompromitowanym towarzyszom uchylenie się od odpowiedzialności, i tyle innych świetnych osiągną rezultatów!...

Zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli tylko nic nie stanie na przeszkodzie i wszystko pójdzie, jak z płatka, zamach może się udać, nie narażając żadnego ze sprawców.

Gwóźdź przecież wszystko tak genialnie obmyślił, on konspirator z zawodu, specjalista doświadczony, wynalazca nowej materii wybuchowej, człowiek spokojny, zrównoważony, pewny siebie — bohater!...

Pokazywał mu planik sytuacyjny, oznaczył miejsce, z którego pocisk rzuca, zasłonięci murem przeciwległej kamienicy, nakreślił krzyżyk w punkcie, gdzie bomba pęknąć musi, przewidział z której strony spodziewać się należy najpierw przybycia policji i wojska, obliczył ile czasu będą mieli, aby poprzeczną uliczką przebież przestrzeń do placu św. Aleksandra i wskoczyli do dorożki, albo do tramwaju; wszystko, wszystko przewidział i uwzględnił.

Byle tylko los nie pobruździł i Marajew w ostatniej chwili nie skrewił!...

Mógłby zmienić swoje postanowienie i nie wyjść dnia tego wcale z domu, mógłby akta odesłać przez ordynansa albo pozostawić je jeszcze w swojej kancelarii, ale Gwóźdź i na taką ewentualność był przygotowany.

— Nie, udać się musi!... nie może się nie udać, — powtarzał sobie Lebicki, zasugerowany wymową i stanowczością Gwoździa.

I ten młodzieńczy, różowy, awanturniczy trochę optymizm brał chwilami górę nad wszelką wątpliwością, podniecał go i zapalał tryumfalną myślą:

— A jeśli się uda?... a jeśli się uda!...

Skreślił drżącą ręką kilka słów do Broni, i wyszedł, nie doczekawszy się powrotu siostry, aby rzucić list na pocztę; postanowił też pójść w Aleje i pomimo spóźnionej pory obejrzeć teren jutrzejszej akcji.

Chciał być przygotowany i oswoić się z myślą, o zamachu.

Do północy prawie włóczył się po ulicach, trawiony gorączką wyczekiwania i obliczaniem wszystkich za i przeciw powziętego postanowienia; obejrzał szczegółowo wszystkie domy na ulicy, przy której mieszkał Marajew, obliczył na kroki odległość najważniejszych punktów w miejscu działania i przekonał się, że projekt Gwoździa w każdym szczególe świetnie był ułożony.

Powrócił umyślnie do domu późno, aby uniknąć dłuższej rozmowy z siostrą i jej badań w przedmiocie tajemniczej wizyty gościa, któremu musiała ustąpić miejsca we własnym mieszkaniu.

Zastał Rózię nad stosem kajetów jeszcze poprawiającą — jak zwykle — błędy swoich uczennic przy świetle lampy naftowej z zielonym abażurem.

Powitała go serdeczną wymówką, że wyszedł, nie zostawiwszy jej żadnej wiadomości o sobie.

— Ach, ty niedobrego!... widzisz, jakie szkaradne chłopczysko z ciebie, — mówiła z wyrzutem, — poszedłeś sobie, a ja tu ledwie wysiedzieć mogłam.

— Dlaczego?... cóż się stało?... przecież powracałem często jeszcze później.

— Ale dzisiaj nie wiem czemu, miejsca sobie znaleźć nie mogłam, — skarżyła się przed nim; — Sewerki nie zastałam w domu, musiałam wieczorem być na radzie pedagogicznej i nasłuchać się mnóstwa okropności. Podobno wczoraj znów rozstrzelali kilku, a dzisiaj od samego rana aresztują i aresztują mnóstwo ludzi. Na Brackiej i Szpitalnej rewidują przechodniów, byłeś tam może?..

— Nie, chodziłem w innej stronie.

dnokonką, konia przywiązał de bryczki, a sam wstąpił do dworu, załatwił interes. Wraca. Ani konia, ani bryczki...

Nie zdążył jeszcze opowiedzieć, aż wpadają ludzie z okrzykiem: „Wiesz sąsiednia się pali!“ Właśnie ta, w której koń zginął!

Na dworze ciemno, jak w jaskini, płomienie buchają i oslepiają od strony pożaru. We wsi poruszenie. Zdenerwowanie, przestrach bezsilny na widok strasznego żywiołu. Jechać ratować, ale z czym? Przyrządów pożarniczych niema. Iść z gołymi rękoma?!

Ale nie rezonujemy długo. Otoczeni strażą fernali na koniach, bryczką, mkniemy do pożaru. W polu straszno jakos. Wszystko drży w atmosferze. Niwy oświecają promienie łuny i osrebrzają ziemię, za nami ciemność przerażająca. Konie lękają się co chwila. Każdy zbłąkany przechodzień wyrasta w wyobraźni na najzacieśzszego złoczyńcę.

Zbliżamy się. Drzewo z walących się ścian stodół trzeszczy i syczy. Płomienie strzelają w górę, coraz wyżej. Wypędzane z obór

pobliskich bydło ryczy nielitościwie, konie rżą, kobiety ze wsi płaczą...

Jedyna pociecha, że wiatr pomyślny nie zastrasza napędzeniem iskier i płomieni na inne budowle. Inaczej klęska groziłaby całej wsi.

Pożar na wsi, przy obecnym braku organizacji samopomocy, przy braku utensylii przeciwogniowych, przy niezorganizowaniu straży pożarnych wiejskich — staje się czemś nie do opisanego przerażającym.

— Dzisiejsza pomoc sąsiadów-chłopów — mówi mi przy pożarze, polega zwykle na rozgrabianiu dobytku i jawnej kradzieży.

Słyszę dalej, że w pewnej okolicy istniała taka tylko organizacja sąsiedzka, aby formować z ludzi zaufania straż w okolicy pożaru, złożoną ze stróżów, którzy zabezpieczaliby wieś przed kradzieżą!...

Ze smutkiem słyszy się te słowa. O ucho uderzają one tu, przy pożarze, na widok strasznego nieszczęścia, tak przeraźliwie wrogo. Więc jak hyeny jakie w ludzkich ciałach śmiały wydobywać się z podłych jam i rozdra-

pywać cudze mienie w chwilach najkrytyczniejszych, w obliczu wstrząsającego żywiołu?! Więc ludzie, którzy w ciemną noc szli do pożaru, których jak leśne widma spotkaliśmy, jadąc po drodze, byli istotnie kandydatami na drapieżców najzwyczajniejszych?! Więc dlatego mieli wejrzzenia jadem jakimś i chęcią zdobycia łupu przepelnione?! Więc te szumowiny nie idą do miast i tam nie grasują po zaułkach, lecz ukrywają się na wsi?! Czy takich dużo być może?!...

Ogień króluje w pełni. Dają się słyszeć przypuszczenia, co do powodu pożaru. Niema dwóch zdań, że było podpalenie, że złoczyńca, podłożywszy ogień, umknął bryczką, skradzioną rządzący.

Zwolna pożar przygasa. Wracamy do domu, po przejściu silnego wstrząśnienia nerwowego.

Rozmowa przerzuciła się na zwykłe tematy gospodarskie. Ale wylaniają się kwestye i nieprzeciętne. Oficjalista komunikuje, że od Nowego roku połowa służby opuszcza swe miejsca; w sąsiedztwie odchodzą wszyscy pa-

— To chwala Bogu!... tak się bałam, że by cię co złego nie spotkało. Trzeba mój Mundeczku, być teraz ostrożniejszym! — prosiła go, zatroskanem, macierzyńskim okiem spoglądając na brata, — widzisz, strzeżonego Pan Bóg strzeże! Nie narażaj się zanadto, nie noś przy sobie żadnych papierów, żadnych listów, nie włącz im w drogę, bo jeszcze cię zaaresztują, a wtedy... wtedy pomyśl tylko, co jabym zrobiła!...

Spuścił oczy i odwrócił twarz z obawy, aby na niej nie wyczytała tajemnicy, którą ukrywać przyrzekł nawet przed własną siostrą.

— I czegoż się obawiasz? — przemówił po chwili z udanym uśmiechem, — jeśli ma mnie co złego spotkać, to i pod twoim fartuskiem spotka!... Od przeznaczenia swego nikt się z nas nie wykreści.

— Zapewne, ale po co los wyzywać?.. kiedy można złego uniknąć, należy to uczynić, aby się zachować na ważniejszą chwilę! Człowiek nigdy nie może przewidzieć, czy nie będzie potrzebniejszym jutro, niż dzisiaj.

Stanął za jej krzesłem i całując ją w głowę, rzekł:

— To bardzo wygodna zasada, moja droga!... Ależ w takim razie odkładalibyśmy wszystko na jutro, coby można dziś zrobić, przez prosty instynkt zachowawczy. Ot, nie udał się panience aforyzm!

Objęła go za szyję rękoma i przytulając skronie rozpalone do jego twarzy, powiedziała:

— Być może, że się nie udał, ale jestem dziś jakaś taka nie swoja, zmęczona, wyczerpana, że mi się myśleć nie chce. Nawet rozmawiać z tobą nie umiem. Położę się, dobrze?... Jutro mi opowiesz, coś robił.

On w tem objęciu siostry uczuł się jakiś zmieszany; pomyślał, że to może ostatni uścisk, który mu dają te dobre, pocziwe, kochane ręce, prowadzące go dotąd przez życie:

Ogarnęło go dziwne wzruszenie. Przygarnął głowę jej do swojej piersi i szepnął miękko, czule, nieśmiało:

— Róziu...

— Co?...

Ścisnęło go w gardle, musiał chwilę przeczekać, zanim się opanował.

— Róziu... pocałuj mnie na dobranoc dzisiaj tak, wiesz?... jak mnie całowałaś, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, pamiętasz?...

— Pamiętam, tak?...

I odwróciwszy się do niego z macierzyńską czułością, przycisnęła usta do jego czoła, a potem zamknęła mu jedno i drugie oko takim samym długim, pieściwym pocałunkiem.

A on poddawał się tej siostrzanej pieśzocie i szeptał dziwnym głosem:

— O tak, tak, jak dawniej, jak to mama robiła!... tak mi z tem dobrze, żebyś wiedziała.

Ona nie przypuszczała nawet, że go w ten sposób żegna może na zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Niewymówione słowo.



Chciałeś mą łódkę zepchnąć na toń,
Na falę pogodną, grecką,
I siedmiostrunną dałeś mi w dłoń
Lutnię, posłuszną, jak dziecko.

Kazałeś Pięknemu wykwić z mórza,
Na pianie różano-białej,
I nad twą głową mej pieśni już
Złociste ptaki szumiały.

Jużeś mię widział, gdzie lauru szczep
Nad górskie pnie się wiszary,

Gdzie nieśmiertelny, słoneczny Feb,
Króluje w Helladzie starej.

Jużeś mię widział... A we mnie żar
Buntu zakipiał, jak lawa,
I promienisty korowód mar
Zgasiała Nemezis krwawa.

Dusza, jak pełen goryczy dzban
Odjękła, bólem wezbrana,
I odnowiła się z serca ran
Najboleśniejsza ta rana.

Co ty mi wróżysz? Promienny szlak,
Promienną samotność w śpiewie,
I taką dolę, jaką ma ptak,
Co o swej tęsknocie nie wie.

Coś ty mi wskazał? W powodzi zórz
Samotną pieśniarską drogę...
Ja umiem samą być wśród burz,
W pożarach słońca — nie mogę.

Mnie trzeba wichru — czekam go drząc —
A w pierś huraganów bicia;
Za jeden piorun tysiąc dam słońce,
Za chwilę szczęścia — pół życia!

Czyś ty zapomniał, że moich dni
Nie ima się grecka fala,
Bo żywy ogień u piór mych łśni
I struny lutni przepala.

Czyliś zapomniał?... Srebrzysty huf
Nieukwieconych ołtarzy,
Niedomówionych spojrzeń i słów
U twoich źrenic się waży.

On ma nad tobą czarownicą moc
Druidów poi cię mową, —
I zrywa ciebie w bezsenność noc
Niewymówione to słowo.

Na twoją głowę spada, jak miecz,
Jak barwny brzeszczot stuleci,
A ty się lękasz i cofasz wstecz,
Gdy kraśny motyl przeleci.

robey... Powtarza się to w całej okolicy. Może nawet w kraju całym.

Większość się godzi do innych majątków, prosta wędrownica narodów na swojej ziemi, duży odsetek jednak reflektuje na wyemigrowanie z kraju. Wieści o wygodnych warunkach rozkolonizowania pozostałych jeszcze wolnych ziem w Brazylii, zdają się już przenikać do tych warstw robotniczych. Znosi się na brak ludzi do pracy w przyszłym roku. Trapi ta perspektywa przeważnie wszystkich ziemian, nie jednemu przerywa sen spokojny.

Doczekujemy dnia następnego. W południe wpadają jak strzały ludzie z podwórza i komunikują za jednym oddechem: Żle! krowy się wzdęły, świeżo pastuch przypędził je z koniczyzny!

Gwałt, popłoch, przygotowania do ratunku, szukanie sond, trokara... Jedną krowę już przebito, co do innych, mniej niebezpiecznych, zachodzą jeszcze wahania.

Pani domu skarży się, że w tym roku padła jej „od zarazy“ cała trzoda. Teraz znów

w niebezpieczeństwie obora. Z innych ust słyszę, że mróz zagraża połowie niewykopanych kartofli i buraków. Ktoś inny dodaje zaś, że w razie mrozu, przy braku śniegu, gotowe wyginać pięknie wzrosłe oziminy..

I tak oto litania skarg bez końca, utyskiwań zresztą, jak widziałem, całkowicie uzasadnionych.

— Et, mówię obywatelstwu wiejskiemu, litujecie się nad nami w mieście, ale matrwicie się lepiej za siebie. Może macie po wsiach lepsze powietrze, mleko „prosto od krowy“, świeże owoce i wyborowe ziemniaki, może większymi jesteście panami rządząc Wojtkami i Bartkami, niczem poręcznik w rocie, ale ja wolę już być wyrobnikiem społeczeństwa w mieście, niż wielkim panem na wsi.

Tak oto naużywawszy się do syta emocji sielankowych na wsi, wróciłem do Warszawy, a siedząc teraz nad biurkiem by spisać swoje wrażenia, Bogu dziękuję, że nie kazał mi w tej chwili troszczyć się, czy aby nie wzdęły mi się krowy, czy kto nie ukradł koni, nie podpalił gumna, na trzodę nie padła „zara-

za“, burakom nie zagraża mróz, a rok przyszły czy aby zabezpieczony jest pod względem kompletu służby dworskiej!...

Dobra jest wieść, ale tylko latem, kiedy gryzą komary, dokuczają muchy, w żar słoneczny ochraniają cię liście cudnych drzew, na podwieczorek dają ci „kwaśne mleko“, a na obiad kurczęta ze śmietaną.

Słowem wieść ma w sobie urok, ale w lecie tylko, i to wtedy, kiedy jesteś gościem-letnikiem i nie obchodzą cię zgoła te wszystkie kłopoty gospodarskie, których nie zamieniłbyś nigdy na moje strapienia literackie.

Owszem, przystać może na zamianę chyba szalenię, tylko inaczej zwany redaktorem odpowiedzialnym pisma, które w każdej chwili mogą zamknąć, i z jakiej to okazji można na dobitek być przeprowadzonym do fortu Aleksieja lub na Pawiak, dla miłego przepędzenia miesięcy zimowych.

W przeciwnym razie wolę zajrzeć, co dziś grają w teatrze i przeczytawszy wieczornego „Kuryera“, iść na premierę do Gawalewicza.

Stefan Gorski.

On tobie kradnie słońce i dzień
Zamienia w mgłę lazuruową.

Już między nami padło, jak cień,
Niewymówione to słowo.

Stefania Podhorska-Okotów.



J. OKSZA.

Nasz ideał kobiecy w najnowszej literaturze.



(Ciąg dalszy).

W ciszy wiejskiego cmentarza, na grobie rodziców, w takiej chwili najwyższego uniesienia i zupełnej jasności, kiedy dusza zda się już wyzwolona, Boskich prawd bliższa, czuje i rozumie siebie, żyje za całe lata wegetacji—w takiej chwili jedynej bezpośredniego obcowania [z Duchem Bożym i z ziemią wszechrodzącą, tworzy, rozwija się w dziewczęciu kobieta, taka, jaką już Joasia pozostanie.

Tę też istotę, która domu pragnie, która swą dobrocią idealną i pełną inteligencją potrafi stworzyć „domowe ognisko“ w najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu, odczuł i pokochał, od urodzenia bezdomny, z proletaryatu miejskiego wyrosły doktor Judym—w niej znalazła uosobienie jego tęsknota do szczęścia... i dlatego, gdy wzięło górę w jego duszy silniejsze nad wszystko przekonanie, że nic nie można naprawić—nie poświęciwszy wszystkiego—on naprzód poświęca Joasię, duszę swej duszy, poświęca z całą świadomością, z całym okrucieństwem, wierząc, że to się stać musiało. Ona była dzieckiem wsi—bezdomny—wieczny rewolucjonista musiał ją zabić w sobie, musiał ją odepchnąć—idąc po swej drodze—ideowego niszczenia do zatraty starego ustroju.

Joasia z „Bezdomnych“ prawdopodobnie tak, jak Anka z „Ziemi obiecanej“, powiększy szereg tych pracownic, które ofiarnie dają życie dla dobra wszystkich i z cierpliwością nieprzebraną, cicho, niewidzialnie niosą na barkach ogromny trud wypełniania roboty „której cel daleki,“ a która zawsze zwycięża.

Inteligentnych dziewcząt o duszy głębokiej i wyrobionem poczuciu obowiązku dała nam literatura współczesna kilka: najpierwsza to ta Zosia, siostra umierającego studenta, ze „Śmierci“ Dąbrowskiego, tak oddana i tak silna, tak bardzo podobna do Joasi, w swem uczuciu pół-macierzyńskiej odpowiedzialności wobec braci. I znowu inna siostra z „Fachowca“ Berenta, owego znakomitego studium życia młodzieży z przed lat kilkunastu, która obok „Syzyfowych prac“, służyć będzie za dokument czasów i dokument duszy tego pokolenia, przedwcześnie zgniecione-go w walce z systemem i ustrojem społecznym „kraju przywiślańskiego.“

Inne już, ale także pokrewne pojęciami i siłą ducha, może bardziej do postaci Orzeszkowej zbliżone, to bohaterki sybirskich prze-

praw Sieroszewskiego, godne ludzi mocnych i upartych, których kochają: to żona Aleksandra z Matni, dzielna, świeża Helena z „Riszttau“ i inne.

Jakże wybitnie zaznaczają swą indywidualność i specjalnie polski charakter, także i dziewczęta z niższej sfery, tak zupełnie do niemieckiego typu „słodkiej dziewczyny“, ani do francuzkiego gryzетки niepodobne; owa typowa warszawska „Felka“ z noweli Dąbrowskiego, ta Mańka z „Popychadła“ Szutkiewicza, wreszcie kochająca z takim oddaniem, a jednak z pełną godnością kobiecą, Zosia z „Karykatur“ Kisielewskiego.

W ogóle literatura z początku XX-go wieku oddała hołd szczery i gorący charakterowi kobiety polskiej.

Rodzina Połanieckich wprowadziła do literatury motyw małżeństwa, dobrego małżeństwa, ideał życia rodzinnego, jako podstawy społecznego ustroju. Ideał ten przewija się także po przez inne powieści tego czasu, w „Aniele śmierci“ Totmajara, tworzy grupę państwa Przerwiczów, odzywa się jako pragnienie w „Siostrach Malinowskich“ Konara, ostaje się przed ironią Weyssenhofa, który daje dwa typy: światowych państwa Kostszów i domowych państwa Tomaszów w „Pohilipskim.“ Jest moment, że piśmiennictwo nasze rozbrzmiewa jednym hymnem na cześć rodziny.

I oto w tej właśnie chwili z żywiołowym rozpędem wybucha młodość głośnym rewolucyjnym buntem: okazuje się, że coś tam oddawna popsulo się w stosunkach rodzinnych, że nie czas już zasłaniać, idealizować, uszlachetniać, bo całe szeregi istnień bujnych, pięknych, przydusza ciasny egoizm gniazda rodzinnego, bo całe pokolenie, rwące się do życia, spragnione twórczości i duchowego rozwoju—zrywa się do walki i burzy za sobą wszystko, na oślep rzuca w świat z goryczą i samotnie, lub ginie, ztraca się, marnuje w bezsilnem szamotaniu z więzami pospolitości.

Jak huragan wpada „Szalona Julka“, już cała kobieta, kobieta-artystka, o gorącej duszy, o gorącym temperamencie, szczera i czysta, z takim błyskiem entuzjazmu w oczach, z taką cudowną jasnością w duszy, z taką piękną, wielką, świętą nadzieją wydobyć całych światów nowych z bogactwa swej artystycznej natury.

„W sieci“, „Ostatnie spotkanie“ Kisielewskiego, „Komediantka“ i „Fermenty“ Reymonta, postawiły naraz problem młodych i starych, egoizmu rodzicielskiego i egoizmu dzieci w jaskrawem i tragicznem oświeceniu. Z tej walki—ten, co zwycięża, wychodzi z sercem złamanem—pani Chromińska, wydając córkę za męża po swej myśli, ogląda ruinę, przepaść nieszczęścia, w jaką wtrąciła dwoje ludzi. Boreński nie zapomni nigdy swego opuszczonego ojca, któremu bezczka nogę strzaskała—konał, a syna nie było przy nim.

„Komediantka“ Janka Orłowska, której umysł chaotyczny, nieświadomie przewrotny, przedstawia stan raczej zamętu, niż fermentu, w egoizmie swoim znajduje oparcie: uważając siebie za wyłączny cel zainteresowania, za doskonałość uciemiezoną, może przebrnąć przez doświadczenia lichej trupy teatralnej,

a potem jeszcze z poczuciem wyższości, dręczyć starego ojca waryata i lekceważąco traktować pocziwego Andrzeja, ale w końcu znajduje dość rozsądku, by się pogodzić z życiem realnem i zapewnić sobie miły, znośny spokój, w macierzyńskim uczuciu mający swe usprawiedliwienie.

I niema racyi może, dawny przyjaciel, artysta-cygan, przez zęby ciskając ostatnie słowo powieści: „Świństwo.“ To takie życie jest—w końcu trzeba trochę litości, żeby nie męczyć się tak strasznie i nie męczyć drugich..

Oportunizm Janki nie wynika jednak z dobroci jej serca—tak zrobiły wypadki: właśnie dobry, szlachetny, czysty charakter w takich przejściach nie może się utrzymać na poziomie, nie może się pogodzić z koniecznością życia i psuje się, złością nasiąka, swą szlachetność zamienia w bunt i przekleństwo.

I dlatego inaczej rozgrywa się dramat Juli i Boreńskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rzeźby Edwarda Wittiga w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych.



Na polu nasej twórczości artystycznej wystawa prac specjalnie rzeźbiarskich do nieczęstych zjawisk należy; tem bardziej zasługuje ona na uwagę, jeżeli zaznajamiamy się za jej pośrednictwem z jednostką tak wysoce kulturalną i utalentowaną, jaką jest Edward Wittig. Młody artysta ten przed kilku laty poświęcał się z powodzeniem sztuce medaljerskiej; następnie jednak przerzucił się do szerszej twórczości artystycznej i zaczął uprawiać rzeźbę, którą studyował w Paryżu pod kierunkiem Charpentiera. W tem ognisku sztuki współczesnej, jakim jest bezwątpienia obecnie stolica Francji, artysta nasz przebywa od lat kilku; pracuje on i tworzy, wzorując się na pierwszorzędnym mistrzach współczesnej sztuki, co nie tamuje bynajmniej jego indywidualności artystycznej, a kieruje ją na bardzo wytworne i kulturalne tory. Talent Wittiga rozwija się i promienieje niejako w tak bardzo sprzyjającej temu atmosferze, czego dowody widzieliśmy w jego pracach, co pewien czas przysyłanych do naszych salonów sztuki. Na zeszłorocznej wystawie jesienniej zwracał uwagę przepiękny marmur artysty, zatytułowany „Lęk“; rzeźba w marmurze—niebawem prawie zjawisko w naszych oplakanych warunkach artystycznych; a jednak talent Wittiga znajduje specjalne pole do uwydatnienia się w tym cudnym, tak bardzo podatnym do wszelkich subtelnych odcieni materyale!

Obecnie młody artysta urządził w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych po raz pierwszy w Warszawie zbiorową wystawę swych prac, na którą złożyło się około dwudziestu rzeźb, wykonanych przeważnie w marmurze lub bronzie; zimne, sztywne odlewy gipsowe prawie że są niewidzialne na tej ciekawej wystawie. Nie należy bowiem zapomnieć, jak wielką wagę w rzeźbie ma materyał, z którego dany utwór jest wykonany; mamy tego najlepszy przykład na „Biuście kobiecym“ Wittiga, który podziwialiśmy uprzednio w pysznym miękkim wymodelowaniu białego marmuru, a obecnie widzimy

jakby skrzepniętym, stwardniałym w odlewie gipsowym.

Rozglądając się po całokształcie wystawy Wittiga, z rozkoszą zatrzymujemy oko na ślicznym akcie kobiecym, zatytułowanym „Młodość”. Artysta potrafił zakląć w biały marmur cały wdzięk i czar młodego ciała kobiecego, odtworzyć jego niezrównaną miękkość modelacji; uchwycić tętno krwi, pulsującej pod gładką, atlasową skórą. Wittig w rzeźbie swej stara się uogólnić kształty, nie zapuszczając się w drobne szczególik, rozbijające całość; robi on to w sposób umiejętny i wytworny i osiąga efekt kolorystyczny niejako, przez łagodne płaszczyznowanie, nie przerywane brutalnymi zagłębieniami i kąciastostwami. To też oddaje on z mistrzostwem wdzięk ciała kobiego zarówno w wyżej wspomnianej rzeźbie „Młodość” jak też i bardzo wytwornym portrecie pani Sz., ogromnie ciekawym w układzie i w sposobie traktowania.

Dużo miękkości ma też „Płaczka” artysty — wszystkie te prace wykonane w białym marmurze z przedziwną delikatnością techniki.

W pracach przeznaczonych do wykonania ostatecznego z brązu, mężnie i nie jako twardnieje technika Wittiga; zwraca on tu specjalną uwagę na ekspresję wewnętrzną, daje ruch silniejszy i bardziej zaakcentowany. Muskły uwydatniają się mocniej, jakaś siła zdaje się promieniować z tych ciemnych postaci. Z bronzów utalentowanego artysty wyróżnia się „Sfinks” zakupiony do Muzeum Luksemburgskiego, „Rozpacz”, „Bożyszcze”, „Spleen” — pełna wyrazu figurka siedzącej kobiety, mało może na znudzoną wyglądającej.

Całokształt wystawy Wittiga — zarówno wartość artystyczna dzieł, jak i ich zewnętrzne ugrupowanie — nosi piętno rzeczywistego talentu, wysokiej kultury, oraz bardzo rozwiniętego smaku estetycznego; daje ona też widzowi chwile prawdziwej rozkoszy estetycznej, nie często zpotykanej na naszych wystawach.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



SARYUSZ.
(ZOFIA CIESZKOWSKA).

PODWÓJNA MORALNOŚĆ.

SZKIC POWIEŚCIOWY.



(Ciąg dalszy).

Purpurowo-złoty krąg słoneczny staczał się powoli i obejmował krwawym pierścieniem smugę ciemnego boru, że zdał się płonąć i ognistymi słupami znaczyć przezrocza błękitów.

Z podwórza dochodził skrzyp studni i turkot młockarni. Na dziedzińcu były się z sobą dwa zacierzwione kogutki, ku wielkiej uciechu biegającego za nimi Stefusia, długim szeregami ciągnęły kaczkę ku kuchni czeladnej, indor nasrożył swe wielkie korale i sunął hałaśliwie za wystraszonym wiejskim dzieciakiem, a paw rozpostarł swój barwny wachlarz i przechadzał się pompatycznie.

Z drwarki wracała jedna z dziewcząt z dużym nareczem drzewa na plecach, a od studni dwie inne niosły ceber wody, nucąc wesoło.

Ewa patrzyła smutnym, zalzawionym wzrokiem.

— Mamusiu, — zaszczębiotał głosik dziecięcy, — niech mi mamusia bacik zawiąże.

— Daj, dziecinko...

— Ciego mamusia placie? I jutro mamusia plakala. Mamo!... pan Kalol jedzie. O, na ja kim ślicznym koniku!

Stefus wybiegł, klaszcząc w dłonie.

Pan Karol zeskoczył z konia.

— Pani smutna, pani znów smutna — rzekł obrzucając ją przy powitaniu badawczym i tklivem spojrzeniem.

Uśmiechnęła się wesoło, chcąc ukryć wzruszenie, ale on wybuchnął:

— Dlaczego pani kryje się przede mną? Kogo pani ma na całym świecie? Ani rodziców, ani rodziny, nikogo prócz tych drobnych dzieci, które cię zrozumieć nie mogą. Pani Ewo, czemu ty się wciąż odwracasz od jedyne go serca, które cię tak kocha.

— O tak — wybiegło jej z goryczą na usta, — jedyne serce...

— Pani — mówił ośmielony jej słowami, — miej litość, nie odtrącaj mnie ciągle, pozwól mi choć wypowiedzieć mi to, co mi serce przepelnia, pozwól mi kochać siebie.

— Panie Karolu, kobieta, która zdradza kochającego i wiernego męża...

— Pani, w ustach pani brzmi to jak szuderstwo. O tak, umiem to wszystko na pamięć. Obowiązek, powinność, enota, mąż kochający i wierny i t. d. Ha, ha, ha! — rozeźmiał się gorzko.

— Panie Karolu, pan nie powinienes tak mówić...

— Daruj pani, jestem nikczemnikiem, ale do szału mnie doprowadzasz. Ty co się litujesz nad ptaszkiem zabitym, czy nigdy nie pomyślisz, że ty mnie zabijasz?

— Panie Karolu!

— A i ty, i ty pani, cierpisz. Czy sądzisz, że ja nie widzę, jak walczysz między poczuciem obowiązku a sercem, które się krwawi w osamotnieniu, a tak szalenie kochanem być pragnie.

Ewa zbladła, przymknęła oczy i twarz w dłoniach ukryła.

On zaś ciągnął:

— Wy, kobiety, musicie kochać i być kochane, wy, jak kwiaty cudne wędniecie w cieniu zapomnienia. A ty, pani, tak wrażliwa i tak do miłości stworzona. Nie, nie, ja dłużej już panować nad sobą nie mogę, bo i ty cierpisz. Ach, przynajmniej w chwili, gdy się czujesz osamotnioną, gdy serce twe ścisiska się boleśnie, nie odtrącaj tego, które-muś wszystkim, wszystkim na świecie!...

Głęboki smutek malował się na twarzy Ewy.

— A więc tak! — wybuchnęła, — czasem wydaje mi się, że nie mam na całym świecie innego oparcia, prócz serca pańskiego i... i... panie Karolu! niech Bóg panu zapłaci za to uczucie, które mi okazujesz. Ono... ono mnie ratuje od rozbicia... ale i boli zarazem, bo pan przez nie cierpisz...

Karol z bijącym sercem pochwycił jej rękę i całować począł.

— Aa! nareszcie! nareszcie! pani ty moja! moja! — powtarzał w uniesieniu, pozerając ją błyszczącymi oczyma.

Twarz Ewy stawała się coraz smutniejsza.

— Serce nieszczęśliwej kobiety — rzekła, — to zdobycz [tak łatwa.. garnie się ono wszędzie, gdzie mu tylko błysnie promień uczucia.

Jemu na te słowa twarz rozplómięła się radością i wybuchnął.

— Pani mnie kocha! Ja to przeczuwałem, wiedziałem. Jakim szczęśliwy! Spójrz na mnie! Dlaczegoś taka smutna?!... Ewuniu! ukochana moja!... Pani!

Patrzył na nią gorąco, błagalnie...

— Czy żałujesz pani, żeś mi dała chwilę szczęścia! po tylu latach i po takiej męce? Czy nie dość się jeszcze wycierpiałem?

— Panie Karolu, ja mam przywiązanie do mego męża, a gdyby on mnie kochał... Ale czuję się opuszczoną, a w takich chwilach ja boję się, boję się mieć przy sobie czyjes serce oddane i... dlatego, my, panie Karolu, widywać się z sobą nie możemy...

— Pani.

— Nie! nie!

— O pani Ewo — mówił z bolesnym wyrzutem, — dlaczego ty się odzieras z jedyne go błysku pociechy, a choćby chwilowej ulgi.

— Bo mógłbyś stać się ulgą i zapomnieniem mojem, a mnie się zapominać nie wolno. Oszczędź mi, panie Karolu, daremnej a ciężkiej z sobą walki. Nie dotykaj więzów które stać się mogą kajdanami.

— Więc odejdę, rzucę majątek, wyjadę. Nie zobaczysz już mnie pani nigdy. I... może kiedyś żal ci będzie, żeś mnie odtrąciła.

Zadrżały jej usta.

— Gdy pan odjedziesz, zapomnisz i tak będzie lepiej, stokroć lepiej.

— Pani wie, że to niemożliwe...

— Panie Karolu, ja mam dzieci... ja dla nich muszę być czystą, muszę być silną. Mnie nie wolno!..

— A dusze nasze, dusze, czy je podeptać wolno?!

Wsparła się o drzewo, bolesną walką wy-czerpana.

W tej chwili wiatr się podniósł i rozwiał jej kasztanowate kędziory, spadające na twarz mizerną i pobladłą. W dużych, szafirowych oczach błyszczwały łzy.

Karol ukląkł i całował jej nogi, szarpany łkaniem wewnętrznym, poczem podniósł wzrok na jej twarz łzami zalaną.

— Pani — błagał, — miej litość nade mną i nad sobą. Czy ty wiesz, co znaczy własne serce codziennie zagłuszać i deptać? Czy ciebie to nic nie obchodzi, że ja szaleję. Pani, Ewo...

Ach, przygarnąć się do jego piersi, utulić jego cierpienie i własny ból osamotnienia, zapomnieć o wszystkim, być upragnioną, kochaną!

Czując, że nie mogłaby mu się już oprzeć, ani patrzeć na jago rozpacz, zakryła twarz i broniąc się przed samą sobą, jęła powtarzać:

— A nie! nie! nigdy!

On zerwał się.

— A więc żegnam panią!

Chwycił jej rękę, a gdy mu je z łkaniem wyrwała, uklonił się sztywno i zwolna począł się oddalać.

Na usta jej wybiegł stłumiony okrzyk i jakiś ruch mimowiedny, jakiś rzut ku niemu wstrząsnął jej postacią, ale wnet opanowała się, cofnęła, zdrętwiała.

Osunęła się na ławkę.

Jak długo tak trwała, nie umiałaby powiedzieć, gdy nagle ujrzała przed sobą bonę, pannę Józefę.

— Szukałaś mnie, moje dziecko?

— Tak, — odparła nieśmiało młoda dziewczyna. — Chciałam panią prosić o zwolnienie z obowiązku i chciałabym wyjechać, choćby dziś jeszcze...

— Jakto? dlaczego? Pani z miejsca niezadowolona?

— Nie, proszę pani. Owszem, pani była jak matka, jak rodzona matka... Nigdy pani tego nie zapomnę, ale tem więcej nie mogę być tu dłużej...

— Jakto tem więcej. Nie rozumiem...

— Niech się pani na mnie nie gniewa, ja nie mogę. Ja wiem, że nigdzie pani takiej nie znajduję... Mnie i dzieci żal i pani. Ale ja nie mogę...

— Co się stało, panno Józefo? w tem się coś kryje... Ja tak bez powodu puścić pani nie mogę.

Józefa była bliska płaczu.

— Mój Boże, niech mnie pani nie pyta.

— Nie, panno Józefo, pani mi musi powiedzieć wszystko, jak matce. Może się rada znajdzie. Jesteś pani porządną, dobrą dziewczyną i wiesz, jak jestem z siebie zadowolona, jak cię lubię...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kwestyonaryusz w sprawie równouprawnienia kobiet.



„Polskie Stowarzyszenie Równouprawnienia Kobiet,” pragnąc zbadać panującą w kraju opinię w sprawie wprowadzenia w życie zasadniczych zmian w położeniu prawnopolitycznym i społeczno-ekonomicznym kobiety — oraz stosunku ruchu kobiecego do ogólnych dążeń reformatorskich — zwraca się do przedstawicieli Stronnictw, Związków, Stowarzyszeń, Instytucji, oraz osób interesujących się sprawami społecznymi z prośbą o uprzejme udzielenie odpowiedzi na załączony kwestyonaryusz, lub też na poszczególne jego pytania:

1) Jakie stanowisko zajmuje Stronnictwo, Stowarzyszenie i t. d., którego Sz. P. jest przedstawicielem, w sprawie równouprawnienia kobiet?

2) Jakie są osobiste zapatrywania Sz. P. na tę kwestyę?

3) Czy uważa P. pracę kobiet za pożyteczną w dziedzinie kultury, oświaty, higieny, dobroczynności i t. d., oraz w różnych gałęziach gospodarstwa społecznego?

4) Czy i w jakim zakresie uważa P. za właściwe domaganie się praw wyborczych dla kobiet do instytucji wchodzących w zakres przyszłego samorządu ziemskiego i miejskiego w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi?

5) Czy i jakie prawa wyborcze winny, zdaniem P., przysługiwać kobietom w przedstawicielstwie do sejmów krajowych i centralnych ciał prawodawczych?

6) Czy i jakie reformy w kierunku zniesienia stosowanych do kobiet ograniczeń należy przeprowadzić w prawie cywilnem (osobizmem, małżeńskim, spadkowym, zobowiązaniowym, handlowym, hipotecznym i t. d.)?

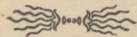
7) Jak się P. zapatruje na sprawę orga-

nizacji pracy kobiet (normowanie dnia roboczego, ochrona pracy, ubezpieczenie macierzyństwa, zrównanie pracy zarobkowej, udział w związkach zawodowych czysto kobiecych czy mieszanych i t. p.)?

8) Czy sprawa równouprawnienia kobiety w sferze stosunków prawnych, politycznych, społecznych i ekonomicznych stanowi zdaniem P. część organiczną ogólnych reform, dążących do demokratyzacji społeczeństwa? Czy jako taka uwzględniona być powinna w opracowywanych w tym duchu projektach ustawodawczych?

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet, Warszawa, Zgoda 4.

Polskie Stow. Równouprawnienia Kobiet
Warszawa, Zgoda, 4.



Chwila bieżąca.



— W znanej sprawie wice-ministra Hurki, o dostawie 10-iu milionów pudów żyta, dla guberni, nawiedzonych przez nieurodzaj, Senat ogłosił wyrok, na mocy którego Hurko, uznany za winnego zawarcia w imieniu skarbu kontraktu z poddanym szwedzkim Lidwalem, bez informacji o zamożności i zdolnościach dostawcy, naraził rząd na stratę, w sumie przenoszącą pół miliona rubli, zostaje usunięty z posady i traci prawo w ciągu lat trzech do wstępowania na służbę państwową lub społeczną.

— W „Związku równouprawnienia kobiet polskich” w Warszawie odbyła się konferencya „O prawnym zabezpieczeniu dzieci nieślubnych.” Pani Reinschmidt-Kuczalska otworzyła konferencyę charakteryzując stanowisko kobiety w społeczeństwie, zwracając uwagę na Kodeks Napoleona, niedozwalający posiadania ojca i na moarlne poniżenie kobiety, pozostającej w nielegalnym związku. Wśród przemówień męzkich należy wyróżnić mowę adwokata Korenfelda, który wychodził z założenia, iż dzieci nieślubnych niema, bywają tylko rodzice nieślubni, trzeba oczekiwać opracowania takiego prawa, które określi szersze, niż dotychczas horyzonty i zmieni zapatrywania ogółu na istotę ślubu.

— Zmarły w Warszawie ś. p. Franciszek Mrówczyński, zapisał testamentem 2,500 rubli na Macierz Szkolną, oraz 1,000 rubli na kupno dzwonoń do kościoła Zbawiciela.

— Kalendarz ilustrowany dla miast i wsi na rok 1908-y p. t. „Oracz,” wydany w Warszawie, przez gazetę „Naród,” general-gubernator warszawski rozkazał wycofać, 11,000 egzemplarzy zniszczyć, gazetę zawiesić.

— Towaryszcz“ donosi, iż ministerium oświaty roztrząsało sprawę uniwersytetu warszawskiego i przyszło do wniosku, iż nie należy go otwierać, dopóki nie nastąpi zupełne uspokojenie w Królestwie Polskiem.

— Dnia 4-go b. m. odbywało się liczne zebranie przy ulicy Leszno, w którym przyjmowali udział sami uczniowie. Wszyscy oni zostali aresztowani.

— W dniu 9-ym b. m. w Łodzi, przy ulicy Długiej, zabito agenta ochrony, Bieguna, drugiego zaś, Zienowicza, ciężko raniono trzema kulami. Szybko nadbiegłe wojsko rewidowało przechodniów.

— Zawieszono wydawnictwo „Jublianina.” Drukarnię tego pisma opieczętowano.

— Z eparchii chełmskiej duchowieństwo wysłało petycję do synodu, iż w razie odłączenia Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego, aby wysłano na Zachód wszystkich księży Polaków, probostwa zaś obsadzono księżmi z Litwy i Rusi.

— Były ober-policmajster miasta Warszawy, Lichaczew, został w Saratowie wybrany na posła do trzeciej Dumy.

— Ilość zaległości na wszystkich kolejach rosyjskich dochodzi obecnie do 46,714 wagonów, takie dane otrzymało ministerium komunikacji.

— Dnia 2-go b. m. odczytano w Helsingforsie w sali tronowej pałacu Cesarskiego, po uroczystem nabożeństwie, rozkaz Najwyższy o zamknięciu sejmu.

— W Kamieńcu Podolskim całą rodzinę niejakiego Hartmana wyrznięto w celu rabunku.

— We Lwowie w skutek fałszywych pogłosek o niewypłacalności Kasy oszczędności, powstał popłoch. W ciągu

czterech dni Kasa wypłaciła deponentom swoim 11 milionów koron.

— Bandytyzm rozplywa się coraz dalej. W Galicji w Podwoleczyskach, w okolicach Lwowa, napadnięto na furgon pocztowy i zrabowano 27,000 koron i listy poleczone.

— Jeden z naczelników redaktorów „Pester Lloyd,” Leon Veigelsberg, odebrał sobie życie. Kula rewolwerowa przebiła mu prawą skroń i wyszła lewą. Pozostawił dzieśię listów.

— Cesarz Wilhelm wraz z małżonką udał się dnia 7-go b. m. w podróż do Anglii.

— Jeden z najstarszych emigrantów polskich zmarł przed kilku dniami w Paryżu, przeżywszy lat 85. Do Paryża wyemigrował w roku 1849-ym.

— W Paryżu otrzymała dyplom adwokacki panna Helena Miropolska, córka lekarza rosyjskiego, mająca zaledwie lat 21.

— Za przykładem Esperanta powstał nowy język słowiański, Twórcą jego jest p. Ignacy Horzek, profesor szkoły realnej w Kromieryżu. Język ów i gramatykę jego, która ukazała się w Tryeście, przeznaczył p. Horzek do porozumiewania się Słowian monarchii austro-węgierskiej.

— Milioner włoski, bankier Fryderyk Mirti, został zabity w Nowym-Jorku przez terorystów włoskich.

— Ś. p. ks. kanonik Władysław Magnuski, zakończył życie w dniu 7-ym b. m., w wieku lat 74.

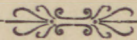
— Proboszcz parafii Jeświno, ś. p. ks. Stanisław Kozłowski, zmarł przeżywszy lat 88, kapłaństwa 62.

— W Łodzi zmarła przełożona VII-klasowego gimnazjum prywatnego, ś. p. *Leontyna Rajska.*

W Poznaniu zmarł Władysław Lebiński, pracowity zdolny działacz społeczny.

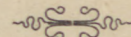
— W Wilnie zmarł ś. p. Zygmunt Czechowicz. Niegdyś pan rozległych dóbr na Litwie, skonfiskowanych w r. 1863-im. Zmuszony był w kopalniach Nerczyńskich spędzić lat kilka, a następnie w Permie i Smoleńsku. Po 16-tu latach tułaczki, wrócił na Litwę. Należał do wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Był to człowiek dzielny, prawy i zasłużony. Cześć jego pamięci.

— W Karlsbadzie, zmarł pierwszy prezes klubu młodoczeskiego w sejmie czeskim, d-r Emanuel Engel. W młodych latach zajmował się poezją. Jako znawca spraw politycznych dał się poznać w późniejszym wieku, gdy był lekarzem w Benesowie. Cieszył się zaufaniem w świecie politycznym, powierzano mu kierownictwo klubu młodoczeskiego w Pradze i Wiedniu, prócz tego był wybitnym dziennikarzem i wydawał własne pismo p. t. „Hlasy od Blauka.”



Od Administracji.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszczu,” którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów dołącza się jako tom 17-ty Maryana Gawałowicza „Dwie baśnie.”



-- Sprostowanie. — W zeszyłym numerze „Bluszczu” na str. 511-iej, w noweli p. t. „Podwójna moralność,” w w. 17-ym od góry, zamiast „skromniejsza,” powinno być „rozumniejsza” i t. d., oraz w wierszu 29-ym, zamiast „przywiała,” winno być „pracowała.”

Treść numeru:

Szkola społeczna w naszej przeszłości, przez Władysława M. Kozłowskiego (dokończenie). — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawałowicza (ciąg dalszy). — Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego — Niewymówione słowo (wiersz), przez Stefanię Podhorską-Okołową. — Nasz ideał kobiecy w najnowszej literaturze, przez J. Okszę (ciąg dalszy). — Rzeźby Edwarda Wittiga, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę. — Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez Saryusza (Zofię Cieszkowską) (ciąg dalszy). — Kwestyonaryusz w sprawie równouprawnienia kobiet. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami, oraz Tablica krojów.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 3-ci noweli p. t. „Zona pożyczona,” w przekładzie Z. G.



Główny Skład Żyrardowski



Krakowskie Przedmieście № 55, w Warszawie

Poleca na Sezony Flanele, Barchany, Materyały puchowe.
Jesienny i Zimowy: KOŁDRY, PLEDY, CHUSTKI.

Firanki, Portyery, Dywany.
Wyroby pończosznicze.

Wielki Magazyn dla Dzieci Ubranka, Bielizna, Buciki, Zabawki, Gry Pedagogiczne Marszałkowska 146 róg Rysiej, Hotel Francuski M. Miniewski

PRACOWNIA BIELIZNY I HAFTU

H. ZBRANIECKIEJ KRÓLEWSKA № 17.
Telefon № 112,56.

3 Medale Złote

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. Gasselseder & Niemczek i Klobukowski

ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi,
PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE OSZCZĘDZA do 50% opału
nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu
Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie.
Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem. Al. Jerozol. 71.

SANATOGEN



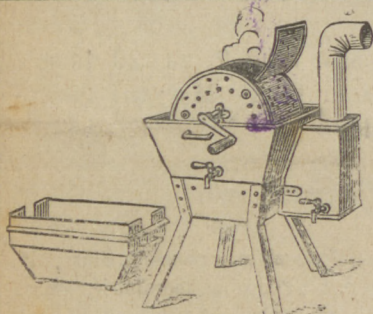
Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

zdenewrowanym i pozbawionym energii
życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 3600 lekarzy
i profesorów. Dostać można we wszyst-
kich aptekach i składach aptecznych. Wy-
strzeżać się bezwartościowych naśladownictw.
Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskim.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa,
Nowo-Senatorska 4.



Pralnie parowe

Wyżymaczki amerykańskie

Wanny. Magle.

NACZYNIA KUCHENNE

MASZYNKI DO KAWY

Szatkownice

polecają **Krzysztof Brun & Syn**
w Warszawie, Plac Teatralny.

GŁÓWNY KANTOR Żurnali Mód i Form

poleca na sezon zimowy najświeższe żurnale oraz albumy sezonowe

Skład Manekinów krajowych i zagranicznych

Własna pracownia w Warszawie

Czarny i S-ka WARSZAWA, Długa 50, (Pa-
saz Simonsa). Telefon 197-33.
Ceny nader umiarkowane.

Sprzedaj detalizna, hurtowa i w prenumeracie.



Muzyki na fortepianie udzielam

mam dobre rekomendacje profesora Strobla. **Krucza № 19 — 45.**

Grywam do Tańca

Cypryan Centkowski
Pianista. **Żorawia 9—29.**



„Magdonald” pierścień zabezpiecza wszelkie szkła do lamp od pęknięcia wskutek przeciągu, ochłodzenia. Ogromna oszczędność szkła i kosztów żarowych szt. k. 15.
„Chiński sztyft” wywabia momentalnie wszelkie plamy, szt. kop. 15.

„Bonum” proszek rozrobiony z wodą skleja metale, szkło, porcelanę, drzewo i t. d. wytrzyma ogień i wodę, paczka 20 kop.

W. JEŻEWSKI, Warszawa. Hoża 12—8.

Magazyn i Pracownia SAMOWARÓW Naftowych i Spirytusowych Maszynek

H. Glebowa
w Warszawie, **Bracka 25.**

Przyjmuje wszelkie reperacje i pobielanie rondli i samowarów oraz posiada wielki wybór nowych, także przyjmuje wzamian stare.

NOWOWYNALEZIONA PATENTOWANA

MASZYNA DO GEROWANIA

za pomocą której nawet dziecko dokona bez żadnej nauki szybko i ładnie reperacji pończoch, obrusów, chusteczek i t. d., przyciem zacerowane przedmioty wydają się zupełnie jak nowe. Robota nie męczy wzroku i stanowi miłą rozrywkę. Cena z ilustrow. objaśnien. i przes. **2 rb. 50 k.** Wysyła się pocztą i za zaliczka. Przedstawiciel **Józef Melnik**, Warszawa, Graniczna 6, m. 8.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7.

Świeżo otworzona Pracownia sukien

oraz Szkoła Kroju. Mody paryskie. Ceny przystępne. Biednych uczyć kroju darmo.

W. Kozłowska Wileza 47, m. 25.

Tłumaczenia i korespondencja

we wszystkich językach europejskich. Chmielna 9, mieszkania 9, do 10, od 4—7. Telef. 108.00.

Kaucyonowane BIURO NAUCZYCIELSKIE

Wandy Rościszewskiej
Warszawa, Bracka 23,
Łódź, Przejazd 14.

Poleca Nauczycieli, Nauczycielki, Freblówki, Bony różnych narodów.

Fortepiany i Pianina

Przyjmuje do gruntownej reperacji, z gwarancją, na rozplaty, oraz kupuje takowe Specjalny Zakład I. Chojnackiego, Złota 26.

Lecznica

D-ra M. Roszkowskiego dla dzieci

Zielna 11, tel. 2184.

Nowy Teatr Marjonetek

Przedstawienia w każdą Niedzielę i Święto o godz. 5-ej.

Wielka № 17, m. 9.

Bardzo tanio!

Dyplomowana nauczycielka muzyki przyjmuje u siebie i przygotowuje do szkół muzycznych od 11—1 i od 5—7 w **Piękna 45, m. 21.**

SZKOŁA OCHRONIAREK Ciepła № 4.

Wiktorii Jędrzejkowskiej
Kursy pedagogiczno-freblowskie dla nauczycielek, wychowawczyń, słojd, koszykarstwo, po ukończeniu świadectwa, posady.

Rutynowany nauczyciel muzyki

wyucza na wszelkich instrumentach symfonicznie w przeciągu 2 tygodni za bezcen **Tamka № 46, m. 30.**

Zegarmistrzowska pracownia

JANA JEZNAKOWA
Długoletniego pracownika p. Woronieckiego **Nowy Świat № 43**, w podw. „Renaissance“.

!!! Prawdziwa Hygiena dla Dam !!!

Przepaski miesięczne „Amor” niezbędne, a jedynie **hygieniczna ochrona** podczas menstruacji, wysyłamy momentalnie po otrzymaniu obstalunku za zaliczeniem pocztowym po cenie: za jedną sztukę **Rb. 1 k. 25**, za dwie sztuki **Rb. 2 k. 30** i za trzy sztuki **Rb. 3 k. 30**. Za tuzin **poduszczynek** do tychże **45 kop.** Za przesyłkę i opakowanie dolicza się 35 kop.

Adres: **Towarzystwo „Central” Warszawa.**

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych** w szkole i w domu bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i kluczem pod tyt.:

Samouczek:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80; — kurs II-gi rb. 1.60. — **Rusko-Niemiecki** k. 5, 12, 24, 40 i 2.20. — **Polsko-Francuski** kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi k. 3.20. — **Gramatyka Polsko-Francuska** k. 1.20. — **Wypisy Francuskie** k. 80. — **Polsko-Angielski** kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi k. 1.20. — **Amerykański Przewodnik** k. 50. — **Polsko-Ruski Elementarz** po kop. 5, 12, 24, 40; — kurs I-y k. 1.40; kurs II-gi kop. 1.80. Nakład autora (Reussnera) Złota 6, Warszawa.